

Kilka skaz *Skazy* Magdaleny Tulli

[M. Tulli, *Skaza*, Warszawa 2006]

Czytając najnowszą książkę autorki *Trybów*, po raz kolejny z przyjemnością zanurzyłam się w kreowaną/krojoną na moich oczach rzeczywistość przedstawioną, z satysfakcją odnotowałam jeszcze jeden sposób powoływania świata/opowieści, i, z przekonaniem, że otrzymam właśnie to, czego się spodziewam – posmakowałam subtelnej a rządzącej się nieugiętą logiką frazy.

„Zacnie się od strojów. To krawiec dostarczy je wszystkie hurtem. Na oko doberze fasony, paroma szczęknięciami nożyc powoła do życia przewidywalny repertuar gestów.”¹

Z ciekawością obserwowałam, jak spod krawieckich nożyc, mających moc powoływania bytów ożywionych wydobywają się pierwsze zarysy postaci:

„W witrynie, obok nieskazitelnego notariusza z futrzanym kołnierzem, wisi student korporant, zgrabna marynarka, w klapę wpięty niepokojący emblemat.” (s. 7)

Ze spokojem czytelnika poruszającego się po dobrze oswojonej przestrzeni odnajdowałam podobne jak w *Trybach* wątki (np. marionetkowość i zupełną podległość bohaterów wobec wyższej instancji tekstowej), chwytów konstrukcyjne (wielopoziomowe wykorzystanie potencjału metafikcji), stylistyczne (poetyckość a zarazem oszczędność frazy), znajomą atmosferę (nieoczywistości, niepewności, nieostateczności, balansowania na granicy istnienia i nieistnienia)

„Ani źli, ani dobrzy, zbyt długo, jak na swe skąpe zasoby cierpliwości, utrzymywani w zawieszeniu, ponad miejscem akcji, która ma się dopiero zawiązać, żyją tylko marzeniami. Rozpięci na drewnianych ramiączkach, bez gruntu pod stopami, a nawet bez stóp, póki nie przyjdzie im zrobić pierwszego kroku. Czekają na swój czas. Nie wiedzą, że ich los wypełnił się wcześniej, jeszcze na arkuszach wykrojów.” (s. 7)

¹ M. Tulli, *Skaza*, Warszawa 2006, s. 5. Wszystkie cytaty w tekście lokalizuję według podanego wydania.

Jednak to, co w *Trybach* zachwycało i ujmowało – świeżością, zręcznością, oryginalnością – a w *Skazie* początkowo stanowiło o czytelniczej satysfakcji, z każdą kolejną stroną najnowszej książki Tulli coraz bardziej mnie nużyło, przybierając zarysy zwyczajnej repetycji².

Niestety to dopiero pierwszy punkt listy zastrzeżeń, jakie nasunęły mi się po lekturze tej pozycji. Są trzy sprawy, które budzą we mnie znacznie poważniejsze wątpliwości.

Skaza pierwsza

Na początek kwestia najbardziej oczywista – lichota fabuły *Skazy* i płytkość jej przekazu. Nie chodzi o to, że od pisarki traktującej intrygę zazwyczaj pretekstowo, nagle zaczynam domagać się „porządnie skonstruowanej” opowieści o uniwersalnym wydźwięku. Przeciwnie. Przyzwyczajona do subtelności pióra Magdaleny Tulli, nie potrafię spokojnie i z dobrą wiarą przyjąć łopatologicznie i w barwach czarno-białych wyłożonej historii wykluczenia. Z wyeksponowanym, nieco już przebrzmiałym, wątkiem obcości na pierwszym planie.

Gdy wykrawane na oczach odbiorcy postaci już zaludniają zbudowany z dykty świat małego miasteczka³, gdy narrator-kierownik produkcji zapłacił już za rekwizyty, dzięki którym nabiera ono rysów skończoności⁴, jego funkcjonowanie zaburza pojawienie się przybyszy. W materii historyjki pojawia się skaza.

² Chodzi nie tylko o metodę konstruowania świata przedstawionego, czy to, że *Skaza* to kolejna stematyzowana zabawa w stwarzanie, ale o powracające natrętnie wątki – jak pobrzmiewający postmodernistyczną melancholią motyw nieoryginalności, niemożności napisania czegokolwiek nowego, metafora koła jako znak konieczności (tramwaj linii zero, jeżdżący wciąż po tym samym okręgu). Sięga to momentami powtarzalności fraz, sekwencji. Zob. fragment *Skazy*: „A przecież sukces całego przedsięwzięcia zależy w znacznej mierze od jego zewnętrznej oprawy. Od tego, czy nie pożałuje się rozmachu projektom, czy uda się powlec powierzchnię patyną, która będzie sugerowała, przekonująco i fałszywie, że **świat nie został stworzony wczoraj**.” (s. 15) i fragment *Trybów*: „Powołano go razem z oknem. (...) Z całą pękającą w szwach przeszłością, żeby nie wyglądało na to, że **urodził się wczoraj**” [w:] M. Tulli, *Tryby*, Warszawa 2003, s. 45. Przykłady można mnożyć.

³ Którego senna atmosfera przypomina nieco klimat powieści Piotra Szewca.

⁴ Choć bynajmniej nie pełni.

Dla tubylców oznacza to zmianę dotychczasowej hierarchii społecznej i zaprowadzenie w ich mieście rządów wojskowo-policyjnych. Dla obcych nowa sytuacja wiąże się z wykluczeniem i odrzuceniem. Dla narratora zaś, stanowi okazję do szafowania niewyrafinowanymi sentencjami w stylu:

„Obcość jest obca, i właśnie to stanowi o jej istocie.” (s. 66)

„Splunięcie naznacza losy najdotkliwiej, choć ślina nie zostawia śladów.”⁵ (s.10)

„Regułą jest w tej historyjce, że słabszy dźwiga więcej.” (s. 30)

Narrator zresztą, mimo rysów wszechwiedzy – a zatem, zdawać by się mogło także i obiektywizmu – przypomina narratora powieści z tezą. Karcącym okiem spogląda na mieszkańców miasteczka, którzy chcąc zapanować nad tłumem uchodźców, zapędzają nowoprzybyłych do piwnicy i tam, stłoczonych trzymają pod strażą. Wielokrotnie podkreśla on niechęć i pogardę, okazywane obcym, czasem przewrotnie przyjmując perspektywę, decydujących o ich życiu i śmierci, „tutejszych”:

„Po co przyzwalać na istnienie, które nie służy żadnemu godnemu celowi, a tylko hołduje nieładowi przemiany materii, nieustannemu krążeniu nadziei i rozpaczy, i pod żadnym względem, przenośnym ani dosłownym, nie spełnia wymogów schludności.” (s. 159)

Jasno i zdecydowanie staje po stronie skrzywdzonych, poniżonych, upokorzonych. Przeciwno dobrze zakorzenionym i pewnym swego losu autochtonom. Nie stroni przy tym od tanich efektów dramatycznych – gdy wprowadza do opowieści niemającą się gdzie podziać biedną wielodzietną rodzinę, pozbawioną elementarnej intymności kobietę, rodzącą na oczach całego miasta, a zwłaszcza wygłodniałe dzieci z sierocińca, z wiele mówiącymi czarnymi opaskami na rękawach⁶:

„Wtedy to nagle dostrzegł [komendant – przyp. K.K.] za oknem tuzin głodnych oczu, śledzących każdy jego ruch. Stłoczona tam widownia nie zadowolili się obserwowaniem go, kiedy przejezdony do niemożliwości, ukradkiem tłumiąc czkanie, rysował na serwetce.

⁵ Ten akurat fragment pochodzi z części początkowej książki, w której czytelnik dopiero jest „przygotowywany” do właściwego odbioru sytuacji obcych.

⁶ „Czerń gdzieniegdzie jest jeszcze całkiem świeża, inne opaski zdążyły już wypłowić, a każdą zapewne uszyła kiedyś w odruchu serca jakaś litościwa ciotka przybita nagłym nieszczęściem w rodzinie. [...] Zszarzała czerń nikogo nie wzrusza, raczej nabiera pospolitości, kiedy narzuca się na co drugim rękawie.” (s. 70)

Chciałaby raczej, żeby zamiast mazać po serwetkach, jadł dalej. Niecierpliwie oczekiwała widoku następnych dań, bo tymi, które już wcześniej zobaczyła, nie mogła się nasycić. Życzyłaby sobie kolejnych apetycznych kąsków podnoszonych na widelcu, żeby móc znowu pożerać je wzrokiem, póki nie znikną w różowych ustach, pod akuratnie przystrzyżonym jasnym wąsem.” (s.112)

Czytelnik nie powinien mieć wątpliwości, kto tu jest dobry, a kto zły. Awansowany, wywołaną przybyciem uchodźców zawieruchą, do wysokiego stopnia wojskowego, były kelner jest bezdyskusyjnie zły. Dlaczego?

„Po drodze zatrzymał się raz i wygrzebał spod warstwy śniegu swoją pałkę, którą z rana utracił, a która cały dzień przeleżała w rynsztoku. To dlatego, że tak wysoko nosił głowę, była dla niego niewidoczna. Tak samo jak dla jego ludzi, bo ich także rozpierała duma.” (s. 145)

Konstrukcja postaci niczym w powieści produkcyjnej. Bohaterowie pozytywni są biedni, bezdomni i głodni. Czarne charaktery są dobrze sytuowane, niekulturalnie czkają i epatują poczuciem wyższości. No i, jak prawdziwi wrogowie klasowi, knują spisek przeciw tym „dobrym”⁷.

Nie chciałabym zostać opacznie zrozumiana. Nie jestem zwolenniczką wykluczania i więzienia obcych, nie życzę źle osieroconym dzieciom, nie przepadam też za ludźmi, którzy się wywyższają – ale nie potrafię przejść do porządku dziennego nad serwowaną w tej książce argumentacją. A ściślej mówiąc nad jej poziomem. Chodzi mi po pierwsze o tanie sentymenty, na jakich się tu pogrywa; po drugie o prostą przekładalność: im bardziej bohaterowie cierpią tym są lepsi, a im lepiej się mają, tym są gorsi; po trzecie zaś o przewrotność. O manipulację odbiorcą, o stosowanie chwytów przypominających język propagandy, o projekcję wykluczenia. Zrealizowaną w odniesieniu do mieszkańców miasteczka i zaplanowaną w odniesieniu do

⁷ W to wszystko wpleciona została historia bezdomnego kundla – symbolu wszelkiego wykluczenia: „A jeśli ktoś od razu zdzielił go [kundla – przyp. K.K.] laską po grzbiecie, to nie po to, żeby naprawić szkodę, bo na nią już nie było rady, lecz raczej z naturalnej irytacji, jaką podrzędne figury potrafią wywołać samym faktem posiadania woli i zachcianek.” (s. 49) Jestem dość czuła na zwierzęce krzywdy jednak sposób przedstawienia sprawy w *Skazie* jest zbyt prosty a interpretacja tego wątku narzucana jest w sposób irytujący. Na marginesie wspomnę, że fekalium psa i konsekwencjom wdepnięcia w nie, poświęcony został dłuższy passus tej opowieści.

potencjalnych czytelników, którzy nie przyjmą stosowanego tu dowodzenia. Dla takich nie ma miejsca w opowieści Magdaleny Tulli. Najbardziej irytującym zabiegiem wydaje mi się to, że występujący przeciw pogardzie podmiot mówiący, pogardę właśnie okazuje bohaterom-mieszkańcom swej historii i czytelnikom – zresztą w dwójnasób. Nie docenia tych, którzy gotowi są przyjąć jego perspektywę i bez wkładania cepem do głowy zrozumieliby nieskomplikowany przecież przekaz historii. I nie bierze pod uwagę tych, którzy owej perspektywy przyjąć by nie chcieli. Ci są po prostu likwidowani na poziomie czytelnika idealnego. Pozostaje mi w tym miejscu zacytować jeszcze jeden fragment *Skazy*:

„Każdą historię pustoszą napięcia, każdą niszczy skaza pogardy.” (s. 172)

W historii *Wilka i zająca* zawsze żałowałam wilka – bo drażniła mnie oczywistość jego przegranej. W przypadku *Skazy*, aż kusi, by opowiedzieć się za osamotnionymi mieszkańcami miasteczka. I za czytelnikami.

Skaza druga

Kolejna moja wątpliwość dotyczy postawy opowiadającego. W tej czarno-białej historyjce, najlepszy ze wszystkich okazuje się narrator. Najlepszy, bo postanawia wziąć odpowiedzialność za obcych⁸ i wyratować ich z opresji⁹:

„Muszę czynić, co w mojej mocy, żeby w porę otworzyć wyjścia ewakuacyjne.” (s. 173)

⁸ „Jeśli ta historyjka należy do mnie, nie jest w mojej mocy odwrócić jej bieg, cofnąć zdarzenia. Lecz o ile mogę tu wpłynąć na cokolwiek, to już ostatnia chwila, żeby puścić w niepamięć wszystko, co uchodźcy popsuli swoim wtargnięciem, wybaczyć im ich niefortunne istnienie i wynikającą z niego skłonność do zajmowania miejsca w przestrzeni. Usprawiedliwić uparte działania tych postaci, żeby gdzieś się podziać, a także bicie serc i skurcze bezbronnych jelit. Sprawy zaszły już tak daleko, że nie ma dla mnie innego wyjścia niż przyznać się do tego tłumu. Niż wziąć na siebie kłopotliwy ciężar przynależności. Skoro nie da się od niej uciec.” (s. 161)

⁹ A przy okazji zagrać na nosie agresorom: „Materia tej sprawy, kwestia niepojętego zniknięcia tylu ludzi naraz, przerastała jednak umysły wszystkich, którzy ją próbowali zgłębić. Jeśli to moja historyjka, pozwolę, by zmęczeni daremnym dociekaniem, porzucili tę kwestię, jako zagadkę, która dla nich nie może mieć rozwiązania.” (s. 167)

„Powoli, kołysząc się w ciemności na obciążonych resorach, jadą [taksówki – przyp. K.K.] prosto do Ameryki. I tak oto uchodźcy trafiają w końcu do ziemskiego raj, a może i pośmiertnego: w tej kwestii nie będą mieli całkowitej pewności.” (s. 174)

Choć nie kończy się tu sprawa lichoci fabuły i płytkości jej przekazu – umykający podziemnym tunelem więźniowie to zabieg, przypominający potknięcie początkującego pisarza, który tak zawikłał losy swych postaci, że nie potrafiąc znaleźć rozwiązania w granicach prawdopodobieństwa, ucieka się do rozstrzygnięcia w konwencji bajki czy *fantasy light*. Nie znajduję innego uzasadnienia dla tego chwytu, ponad naciągnięcie, do z góry założonej tezy, realiów świata przedstawionego. Za wszelką cenę.

Nie dość na tym – narrator nawet nie stara się przekonać odbiorcy do motywacji swego postępowania:

„Jak tam trafił ten tłum, to już kwestia raczej skomplikowana, choć przy tym również – przeciwnie – najprostsza ze wszystkich. Odpowiedź może być trudna albo łatwa, w zależności od tego, kim jestem.” (s. 171)

Wracając jednak do meritum, czyli postawy podmiotu mówiącego – w moim przekonaniu zachowuje się on tak, jakby inną, lepszą ręką przepisywał historię XX wieku. W przesiedleniu grupy uchodźców, reakcji mieszkańców miasteczka, czarnych opaskach na rękawach sierot, przetasowaniach w hierarchii społecznej, atmosferą przypominających rewolucję, odczytać można nie tak znów zawołowane aluzje do tragicznych wydarzeń minionego wieku i ich konsekwencji. Tylko, że narrator-stworzyciel *Skazy* wydaje się bardziej życzliwy postaciom, które wykreował niż ten, który powołał świat zewnętrzny – ludziom. Okazał się też lepszym strategiem, bo znalazł wyjście z sytuacji beznadziejnej¹⁰. Uratował tych, którym Bóg pozwolił zginąć. Wykazał więcej empatii, zrozumienia i współczucia.

¹⁰ Okazał się rzecz jasna również lepszy od wielu ludzi, którzy terroru zaznali z autopsji: „Gdyby generał chciał ode mnie odpowiedzi na dręczące go pytanie, dostałby ją może, ale i tak by w nią nie uwierzył. Zamykam usta, generałowi ani słowa. Czy na pewno? A pod przymusem? A gdyby padł stanowczy rozkaz, poparty argumentem nie do odrzucenia, zimną lufą, którą poczuje na karku? Owszem, byłoby to dla mnie prawdziwe zaskoczenie. Lecz wtedy także nie. Za przywilej nieotwierania ust warto zapłacić każdą cenę.” (s. 171)

„Ale im głębsza rozpacz i zwątpienie, tym mocniejsza wiara, że jakaś potężna i bezstronna instancja na końcu wszystko rozsądzi, zważy krzywdy, wynagrodzi cierpienia. A jeśli to z jakichś powodów niemożliwe? Nawet jawną niesprawiedliwość i złośliwą nonszalancję przyjęliby ufniej niż bezradne milczenie. Jeśli to moja historyjka, wybaczą mi wszystkie winy, tylko bezradność okaże się naprawdę niewybaczalna, bo tylko ona obraża każdą z postaci, wywraca jej poczucie sensu i rani, raz na zawsze odbierając nadzieję. [...] Jeśli ta historyjka należy do mnie, już tylko zaciskam powieki, żeby nic nie widzieć. Czyż nie jestem w niej postacią najostatniejszą z ostatnich, tą, która w końcu musi wziąć na siebie cały ból?” (s. 164)

Mam nieodparte wrażenie, że w *Skazie* zbiegły się dwa, dotychczas równoległe w pisarstwie Tulli płynące wątki – metoda konstrukcji tekstu znana z wcześniejszych jej opowieści (*W czerwieni*¹¹, *Sny i kamienie*¹², *Tryby*¹³) oraz najwyraźniej frapujący pisarkę temat pogardy/nienawiści widoczny w jej publicystyce (*Zamiast procesu. Raport o mowie nienawiści*¹⁴). Połączenie takie samo w sobie nie wydaje mi się niczym godnym napiętnowania, w przypadku *Skazy* jednak budzi mój niepokój. Dzieje się tak dlatego, że zaczynają się mieszać dwa dotychczas rozdzielne wizerunki pisarki – chłodnej, precyzyjnej, subtelnej twórczyni fikcyjnych światów, wywoływanych z niebytu, zachęcanych do istnienia głosem mówiącego i pełnej emocji oskarżycielki rzeczywistości, przyznającej sobie moralne prawo do jej oceny i gotowej wymierzyć karę. Potrafiącej umiejętnie wykorzystać retoryczne chwytły i sposoby manipulacji informacjami, tętniącej chęcią zemsty, niekoniecznie sprawiedliwej. Obawę moją budzi to, że koronkowa praca pisarska Tulli w jej najnowszej książce została skażona emocjami i metodami postępowania reportera-egzekutora. Że do wyrafinowanej prozy, będącej dotychczas nieskazitelnie literackim tworem wsącza się realny gniew, realna nienawiść, realna pogarda. Narrator-moralizator *Skazy*, w którego mowie słyhać ton oskarżenia, przemyca do swej opowieści elementy zarezerwowane wcześniej dla „brudnej” publicystyki. Obawiam się, że

¹¹ M. Tulli, *W czerwieni*, Warszawa 1998.

¹² M. Tulli, *Sny i kamienie*, Warszawa 1995.

¹³ op. cit.

¹⁴ S. Kowalski, M. Tulli, *Zamiast procesu. Raport o mowie nienawiści*, Warszawa 2003.

ten proces będzie postępował i że stracę jedną z niewielu cenionych przez siebie twórczyń prozy najnowszej.

Skaza trzecia

Ostatnie poważniejsze zastrzeżenie wobec *Skazy* to użycie w jej konstrukcji najbardziej pospolitych frazeologizmów, stereotypów, klisz kulturowych. Chodzi mi po pierwsze o osnucie całego zamysłu fabularnego wokół starego przysłowia: „nie szata zdoobi człowieka” i przeprowadzenie w związku z tym bardzo uproszczonej teorii determinacji. Samo przyrównanie czynności narratora do zawodu krawca, jak wspominałam na początku, podoba mi się; razi mnie cel tego zabiegu – wykazanie – i nic poza tym, iż opakowanie bywa ważniejsze od zawartości. Po drugie zaś o inkrustowanie tekstu truizmami, które dają efekt banalnych metafor – np. świata jako piekła:

„Brukowany dobrymi chęciami, podpierany złamanymi nakazami sumienia, świat zawsze w końcu zaczyna się walić tu albo tam.” (s. 172-173)

Przykłady można mnożyć. Nie ma sensu.

Dobre słowo z kropelką dziegciu na zakończenie

Skoro już dzielę *Skazę* recenzenckim skalpelem na fragmenty, które przypadły mi do gustu i fragmenty, które mnie rozsierdziły – na odchodnym pozwolę sobie na wskazanie intrygującego mnie – pozytywnie – zagadnienia. Mam na myśli tożsamość podmiotu mówiącego. Kwestia wydaje się tym ciekawsza, że sam zainteresowany ją problematyzuje.

„Na proste pytanie: - kto tu powiedział »ja« kilka razy – nie ma uczciwej odpowiedzi. Ukrywanie się jest wyczerpujące, na dłuższą metę zgoła niemożliwe. Lecz słówko »ja« niczego tu nie wyjaśni. Za mało ono samo znaczy. [...] w tych dwóch literkach treści jest tak mało, że należą do wszystkich i do nikogo.” (s. 18)

Dobrym chwytem wydaje mi się nieustanna zmiana perspektywy mówiącego – wciąż podszywającego się pod inne postaci, wciąż przymierzającego różne punkty widzenia. Sygnalizowane zwrotem „a jeśli

jestem” zmiany perspektywy podmiotu, wcielającego się niemal w każdą postać, o której mowa w książce, przypominają przymiarki u krawca lub w sklepie. Ten zabieg podoba mi się o także dlatego, że utrzymuje spójność całości na poziomie metaforyki¹⁵.

Tym, co poza sprawami już sygnalizowanymi, niewątpliwie różni *Skazę* od innych opowieści Magdaleny Tulli jest stężenie emocji, dotychczas dość oszczędnie przez autorkę serwowanych i, pomimo nieustannej zmiany masek, bardziej wyrazista i bardziej osobista perspektywa mówiącego. Nie przyszłoby mi do głowy czynić z tego zarzutu, gdyby nie to, że owe emocje czerpane są z jednego rejestru. Negatywnego. Jest nienawiść, pogarda, gniew, poniżenie. Nie tęsknię do happy endu. Tylko do drugiego bieguna. Takiego, który daje poczucie pełni i dopuszcza możliwość cieniowania nieoczywistych stanów emocjonalnych.

¹⁵ Choć niespójności także się zdarzają...miało być dobre słowo i jest, ale z zapowiedzianą kropelką dziegciu. Wciąż podkreślający bezwolność powoływanych przez siebie postaci narrator (zob. chociażby s. 13-14), w pewnym momencie konstatuje utratę wolnej woli w przypadku uchodźców: „Obraz wysiadających z tramwaju uchodźców w ciemnych paltach, tych ofiar nieznanej zapaści, które pod wpływem nagłego zwrotu fabuły utraciły razem z dachem nad głową, wolną rękę do prowadzenia własnych spraw i należny szacunek, od początku domagał się stosownej przeciwwagi.” (s. 98). Nawet nie krytykuję, zadaję proste, podpowiadane przez zdrowy rozsądek pytanie: jak można utracić coś, czego się nigdy nie miało?